

Irena Solińska

CZŁOWIEK WIELKIEJ PASJI

1 sierpnia 1962 r. zmarł Leon Kruczkowski, pisarz, członek Rady Państwa i Komitetu Centralnego PZPR. Jego odejście spośród żyjących stanowi wielką stratę dla polskiej kultury. Odczuwają ją także ludzie różnych krajów, z którymi łączyły Leona Kruczkowskiego więzy braterstwa i broni zawarte w trakcie wieloletnich wspólnych walk w obronie pokoju i postępu.

Kruczkowski, człowiek wielkiej pasji, niesłychanie żywo reagował na wszelkie zjawiska godzące w ludzką godność, hamujące pełny swobodny rozwój. Stąd też, jeszcze w latach młodości, oddaje swój talent i siły lewicy społecznej. Pisuje znane z ciepłoty i odwagi artykuły, bierze udział w akcjach kulturalnych, a w początkach lat trzydziestych rozpoczyna działalność pisarską. Traktuje ją jako służbę społeczną. Z niej wypływa zaangażowanie w tematykę współczesną.

„Kordian i Cham” jest tylko pozornie powieścią historyczną, a faktycznie politycznym, polemicznym dialogiem, który w swoim czasie wywołał niemały ferment w kawiarnianym światku stolicy.

Kijem w mrowisko były także „Pawie pióra”, w których Kruczkowski znowu dotyka nabojałych konfliktów wsi polskiej. Od polityki nie ucieknie autor „Side”. Tutaj swe ostre widzenie przeniesie na inne tło, w środowisko mieszczańskie.

Nazywa zawsze rzeczy po imieniu: rasizm, faszyzm, bezrobocie, a przecież w trudnym okresie, na krótko przed wybuchem II wojny światowej stać go będzie na optymizm, gdy pisze, że Polska „wyjdzie na pewno z mroków dni dzisiejszych”. Niestety wojna pochłonięła ówczesny dorobek pisarski Kruczkowskiego, łącznie z powieścią z czasów Stanisława Augusta i rozpoczętym utworem z życia robotników polskich w Belgii.

Teatr od dawna pociągał pisarza. Pierwszym utworem scenicznym była antyhitlerowska satyra polityczna „Bohater naszych czasów”. Po wyzwoleniu, po pięcioletnim więzieniu za drutami obozu, Kruczkowski wzbogacony o doświadczenia polityczne, dojrzały ideowo, uważa scenę za doskonały instrument oddziaływania, bezpośredniego przemawiania do odbiorcy, którego pragnie przekonać, pozyskać, wychować. Już w 1948 r. na afiszu pojawiają się „Odwety”, pierwsza w Polsce Ludowej sztuka chwytająca za temat aktualny, palący.

W rok później przyjął „Niemcy”, znakomita pozycja dramaturgii polskiej i światowej. Utwór wielopłaszczyznowy dokonujący oceny moralnej zjawisk, które niedawno wstrząsnęły światem. Reakcją pisarza na śmierć Rosenberga był kolejny dramat „Juliusz i Ethel”. Potem „Odwiedziny” i „Pierwszy dzień wolności”. Niedawno „Śmierć Gubernatora” przypominała nam znowu dramaturga ciągle czujnego na sprawy dnia.

„Kruczkowski pisze o sprawach najważniejszych, a więc bliskich wszystkim. Pisarstwo jego operuje coraz biegłym językiem prawdy. Dlatego miliony ludzi na świecie przyjęły jego utwory dramatyczne za swoje” — pisał o autorze „Niemców” Zbigniew Wasilewski.

Kruczkowski pisarz, laureat Nagrody Państwowej I Stopnia i poseł zabiegający o „prawo do kultury” dla wszystkich, wiele energii i żaru poświęcał „szóstemu mocarstwu świata” — ruchowi obrońców pokoju. Uczestnicząc we wszystkich kongresach nawołując do opamiętania, krzwiąc idee współpracy i przyjaźni między narodowej. „Prawdziwy front współczesnych walk o losy świata — mówił laureat Leninowskiej Nagrody Pokoju — przebiega nie pomiędzy narodami lecz poprzez narody”...

Niekiedy jako delegat Polski udawał się za granicę, by z ludźmi o podobnej mu idei bronić praw do życia całej społeczności globu, nie mógł się oderwać od obserwacji. Zamyka je następnie w szkicach o różnej tematyce i w publicystyce bogatej w realia, refleksje i gorącą polityczną temperaturę. Jego słowa rzucane z międzynarodowej trybuny, jak te ze sceny i ze szpalet czasopism i książek, nigdy nie były blade i letnie.

Leszek Goliński

Teatr czterech milionów

M ało kto z miliona teledobrych, z czterech milionów widzów w Polsce wie o tym, że w programie telewizyjnym nadajemy — w porównaniu z innymi ośrodkami telewizyjnymi Europy — najmniej czasu poświęcamy na programy społeczno-polityczne, na teatr i na rozrywkę.

Teatr masowy i trudny

Teatr telewizyjny jest teatrem najbardziej masowym. I zarazem teatrem najbardziej trudnym. Przede wszystkim ze względu na adresata. Trafiać on musi do ludzi różnego wieku, różnej kultury, nie może być więc teatrem elitarnym, ale z drugiej strony nie może też uwzględniać w swym repertuarze sztuk drugorzędnych, nie może obniżać swego poziomu artystycznego. W ciągu jednego sezonu 1961/62 teatr ten dał 62 widowiska dramatyczne i 17 estrad poetyckich: były to najczęściej premiery, gdyż wznowienia teatru telewizji zdarzają się rzadko, co zresztą wcale nie ułatwia mu sytuacji.

Na koncie autorskim tego teatru spotkać można wiele znakomych

nazwisk: Iwaszkiewicza i Brandysa, Szaniawskiego i Andrzejewskiego, Choromańskiego i Promińskiego, z literatury radzieckiej — Szeina i Okudźawę, z zachodnioeuropejskiej — Wildera i Duerrenmatta, Cobba i Vaillanda, z klasyki polskiej — Fredrę i Rittnera, Bogusławskiego i Krasickiego, z klasyki obcej — Sofoklesa, Puszkińskiego czy Czechowa. Da je więc teatr telewizyjny bogaty przekrój przez dramaturgię światową i jest poważnym środkiem oddziaływania kulturalnego.

Wyznacza to mu odpowiednią rangę, która — niestety — nie zawsze i nie wszędzie bywa doceniana.

Praca ponad siły

Polepszyła się znacznie obsada reżyserska i aktorska tego teatru czterech milionów. Przede wszystkim wykształciła się już kadra reżyserów telewizyjnych: można do nich zaliczyć Hanuszkiewicza, Gruzę, Antczaka; ale oprócz nich z teatrem telewizyjnym współpracuje wielu znanych reżyserów teatralnych i filmowych takich jak Broniewska, Szletyński, Byrski, Re-

né, Swiniarski, Skuszancka, Zamkow, Bohdziewicz, Wohl, Wajda. Gwarantuje to teatrowi telewizji odpowiedni poziom artystyczny, pokwitowany już zresztą nieraz oficjalnie przez krytykę.

Teatr telewizji daje w czasie sezonu tyle premier, co wszystkie teatry warszawskie razem wzięte. Cała jednak jego obsada — to trzech ludzi plus sekretariat. Pracuje więc

ponad siły — i czy prędzej, czy później będzie się to musiało odbić na jego poziomie. Chociażby ze względu na trudności natury technicznej. Jedno jedyne studio telewizyjne, stojące do dyspozycji teatru, jest i tak o wiele za szczupłe. Próby odbywają się nocami. W dodatku teatr telewizyjny ma możliwość tylko jednokrotnego, a w najlepszym wypadku dwukrotnego wystawienia jakiegokolwiek sztuki. Może więc za nią zapłacić konwencjonalną kwotę, bez tantiem ZAIKS-u, które stanowią w „normalnym” teatrze gros honorarium autorskiego. Nikt w tej sytuacji nie chce pisać sztuk specjalnie dla telewizji, a teatr telewizyjny ma swoje prawa i swoje możliwości i na całym świecie wokół teatru grupują się już autorzy —

Przed szklanym ekranem

ATA

Poznań

5. VIII. 1962

Nr 43 Rok II

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

TYGODNIA

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

J edziemy szosą — bulwarem na północ miasta. Z lewej strony niewielkie spłaszczone wzgórza. Kurhan Małaja — dwadzieścia lat temu miejsce wielomiesięcznych najbardziej zażartych walk; tu też 26 stycznia 1943 roku połączyły się nacierające z północy i południa wojska frontu dońskiego i 62 Armii. Teraz na wzgórzu stał monumentalny pomnik, oraz budynek, w którym pomieści się olbrzymia panorama bitwy.

Po prawej stronie — las kominów fabrycznych; Wołgograd ukazuje nam jeszcze inne swoje oblicze silnego ośrodka przemysłowego. Jego 150 fabryk dostarcza krajowi traktorów i wysoko gatunkowej stali, aluminium i nowoczesnej aparatury, kabli i lin stalowych, produktów wielkiej chemii. I choć cały przemysł był dwadzieścia lat temu zupełnie zniszczony, dziś produkcja przemysłowa miasta jest czterokrotnie wyższa aniżeli w roku 1940. Teraz zaś — w ciągu siedmiolatki — zwiększa się jeszcze 3,3 raza.

Te dwa zakłady, które właśnie mijamy, są bodajże najsłynniejsze: to „Krasnyj Oktjabr”, potężne zakłady metalurgiczne i Stalingradzka Fabryka Traktorów, która już w roku 1961 wypuściła swą milionową maszynę. Do niedawna były to najpotężniejsze obiekty przemysłowe Wołgogradu. Teraz jest jeszcze Wołżańska Elektrownia Wodna im. XXII Zjazdu KPZR. Tam właśnie jedziemy.

Jan Danecki

Wołgograd - dzisiaj

Wodna im. XXII Zjazdu KPZR. Tam właśnie jedziemy. T utaj Wołga rozlewa się na szerokość 5 kilometrów; przecina ją lekka konstrukcja potężnej zapory wodnej. Widok z niej niezapomniany. Po lewej ręce — spokojna tafia nowego morza; z prawej strony — już „zwykła” Wołga. W oddali widać panoramę miasta. A tuż pod nami — od czasu do czasu wyłania się głowa jesiota. Specjalne urządzenia podnoszą tę unikalną rybę na wysokość 26 metrów, by mogła wędrować na tarło w górę rzeki.

Żelazobetonowy korpus elektrowni. Widoczny jest oczywiście tylko górny fragment. Trudno uwierzyć: kubatura całego gmachu wynosi więcej aniżeli wieżowca Moskiewskiego Uniwersytetu. Dalej — druga zaporę, betonową, odprowadzająca nadwyżki wodne, potem jeszcze — przez około 3,5 km ciągnie się zaporę ziemną, w której znajdują się śluzy. Nie widać końca...

Wchodzimy do przestronnej barwy, nowoczesnej sali. Ciągnie się przez całą długość gmachu — 750 metrów. Pośrodku, rzędem, czerwone kółka 22 agregatów. Każdy o mocy 115 tysięcy kilowatów. Łącznie obliczyć: łączna moc elektrowni wynosi ponad 2,5 miliona kilowatów. O 263 tysiąca kW więcej od mo-

specjaliści, którzy opanowali arkana telewizji i piszą wyłącznie dla niej. U nas jest to w tej chwili niemożliwe.

Nowe formy — stare „kawalki”

Podobnie przedstawia się zresztą sytuacja w programach rozrywkowych. Brak jest tu dobrych tekstów. Teksty idą tylko raz, gdy w teatrach satyrycznych wielokrotnie, bardziej znanym twórcom nie opłaca się więc współpraca z telewizją. Redakcja programów rozrywkowych przygotowuje sto premier rocznie i ma na swoim koncie tak piękne osiągnięcia, jak „Kabaret Starszych Panów”, i wiele innych, bardzo udanych programów, nieraz cyklicznych. Zaliczyć do nich można „Ballady i songi” Brechta, „Piosenki francuskie” w reżyserii A. Bardinięgo, programy „Raz, dwa, trzy”, czy też „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna” w opracowaniu L. Kydryńskiego.

Niestety, profil programów rozrywkowych jest siłą rzeczy zawężony, telewizja nie posiada własnej orkiestry, nie posiada własnego studia muzycznego — musi więc korzystać z pomocy radia, próby odbywają się tu również nocą, nie posiada — oczywiście — własnych aktorów rozrywkowych, musi więc korzystać z „pożyczek”, na skutek czego np. sobotnie programy rozrywkowe rozpoczynają się dopiero po 22, gdyż wcześniej artyści zatrudnieni są w teatrze.

Inna rzecz, że brak jest u nas tradycji kabaretu satyrycznego. Posia-

sama zaporę służy teraz jako połączenie z macierzystym miastem. Biegnie po jej nawierzchni linia kolejowa, szosa.

Północną granicę Wołgogradu wyznacza Wołżańska Elektrownia Wodna. Na południu sięga ona aż po słynny Kanał Wołga — Don. Można przebyć tę trasę statkiem.

Wołga... „Mielizny narasta — ja i w Sarpencie i w Carycynie, i w Dubowce i w Saratowie, słowem wszędzie, na całym biegu Wołgi. I, być może, szczególnie daleki jest czas, gdy i tę wielką rzekę po trochu pochłonie azjatycka pustynia, następująca wolnymi, lecz pewnymi krokami i wysuszająca nie tylko rzeki, lecz i samo morze” — tak oto pisał pół wieku temu po podróży po Wołdze A. Malikow w książce pod znanym tytułem: „Kraj bez przyszłości”.

Rozmawiam z kapitanem statku.

— Dziś żegluga nie przedstawia specjalnej trudności. Mielizny są mniejsze i łatwo je można wyminąć. Nie tylko my zresztą odczuwamy wpływ nowej zapory. (Kapitan wskaże na lewy brzeg rzeki.) Stąd, z pokładu widzicie tylko nadbrzeżne krzewy i topole. Ale zaraz za tym ciągną się szare połacie traw wypalonych przez nasze upalne słońce. Na wiosnę zaś — zatapia połacie te Wołga i oddzielający się od niej powyżej „rękaw” Achtuba. Ta dolina pomiędzy nimi jest niezwykle urodzajna. Bo i słońce i łył nanoszone przez wiosenne zalewy. Można tu zbierać z hektara po 70 kwintali pszenicy, po 12 ton buraków cukrowych i 17 ton pomidorów. I ryż, winogrona, arbuzy, owoce... Ale trzeba na wiosnę odważniać, a latem nawadniać.

Dzięki zaporze i elektrowni można było przystąpić już do budowy potężnych urządzeń irygacyjnych.

Na prawym brzegu — wciąż jeszcze miasto. Mijamy stocznice. Potem — Sareptę (tak, stąd właśnie ta znakomita, jeżeli oryginalna musztarda).

To teraz też dzielnica Wołgogradu. Potem w małej zatoczce zatrzymujemy się przed charakterystycznym łukiem: tu właśnie jest wylot kanału Wołga — Don. To wiemy doskonale — jedna z pierwszych potężnych, powojennych inwestycji gospodarczych — dzięki niej Wołgograd nazywa się dzisiaj często „portem pięciu mórz”.

A jeszcze dalej — bloki dużego osiedla. Tu też jeszcze dziesięć lat temu był tylko goły step; osiedle powstało „z okazji” budowy kanału. Liczy teraz 70 tysięcy mieszkańców. Oficjalna nazwa: Krasnoarmiejska Dzielnica Wołgogradu.

Wracamy już późnym wieczorem.

Płyną w dół rzeki — jak od dziesiątków lat — barki naładowane drzewem. Ale spotykamy też parę tankowców płynących również na południe. To już nowość. Dotąd ropę naftową transportowano z południa na północ. Ta, jest miejscowa — z odkrytych niedawno pod Wołgogradem złóż („wydobywamy tu nieco więcej niż Rumunia”).

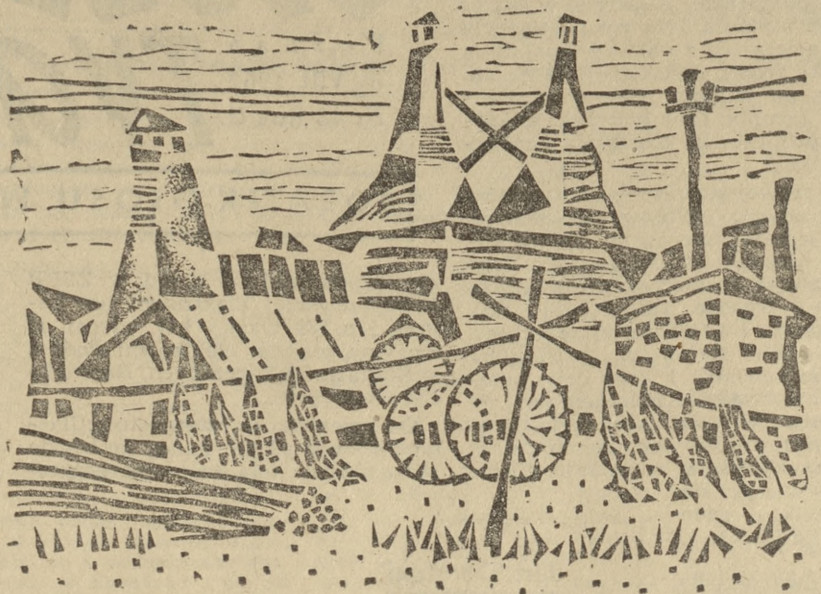
Jest bardzo cicho. W spokojnej tafli „Matiuszki Wołgi” odbijają się światła wielkiego miasta.

I pomyśleć, że 18 lat temu pewien amerykański dziennikarz wysunął propozycję: pozostawić to miasto jako gigantyczne muzeum zgłiszcz.

Dokończenie na str. 4

Wędzarnia w Kuźnicy

Linoryt
Andrzeja
Jeziorkowskiego



Czytelnicy uzupełniają publikacje historyków

Ogłoszone niedawno publikacje na temat działalności dywersyjnej i partyzanckiej w Wielkopolsce podczas okupacji hitlerowskiej oraz na temat polityki Polskiej Partii Robotniczej w przeprowadzaniu w naszym województwie nacjonalizacji przemysłu, spotkały się z szerokim oddźwiękiem wśród społeczeństwa. M. in. redakcja „Głosu” otrzymała sporo listów w związku z opublikowaniem fragmentów prac Ludwika Gomolca, (Wielki sabotaż — „Głos Tygodnia”, 8 lipca 1962) i Franciszka Łazowskiego (Oni ocalili przemysł — „Głos Tygodnia”, 22 lipca 1962). Autorzy listów uzupełniają fakty przytoczone w artykułach, podają nowe szczegóły wydarzeń z tego okresu, polemizują z niektórymi tezami publikacji. Niektóre listy, zresztą zgodnie z życzeniami naszych Czytelników, prze kazaliśmy autorom prac.

Część pretensji Czytelników wynika z faktu, iż na łamach „Głosu” (a także innych gazet poznańskich, o czym wspominają nasi korespondenci) publikowaliśmy tylko fragmenty, zazwyczaj dość obszerne prace. Zapewne, gdyby nasi korespondenci zapoznali się z całością prac L. Gomolca i F. Łazowskiego, wątpliwości dotyczące dokładnego przedstawienia historii niedawnych lat byłyby mniejsze.

Godna podkreślenia wydaje się jednak troska naszych Czytelników o historyczne opracowanie dziejów patriotycznej walki Wielkopolan z okupantem hitlerowskim oraz równie patriotycznej pracy nad odbudową zniszczonego kraju. Opracowania przygotowane z okazji odbytych w czerwcu br. sesji popularnonaukowej, poświęconej 20-leciu Polskiej Partii Robotniczej w Wielkopolsce, były — jak podkreślano na tej sesji — próbą wszczęcia systematycznej, naukowej pracy nad historią najnowszą naszego regionu. Nie wątpimy, że w wyniku pracy badawczej poznańskiego środowiska naukowego i działaczy politycznych opublikowane zostaną w przyszłości bardziej szczegółowe i obszernie opracowania.

Poniżej — fragmenty dwóch listów, związanych z naszymi publikacjami:

„Podano w „Głosie” (Wielki sabotaż, 8 lipca 1962), że w porcie poznańskim 40 osób zostało aresztowanych, a większość z nich straconych. Posiadałam plakat, na którym były wszystkie nazwiska (13). Mąż mój, Edmund Jankowiak, pracował w porcie od 1940 r. jako portier i skreślacz wagonów, razem ze stróżem Tomaszem Prymelskim. Został aresztowany 25 maja 1943 r., posadzony o podpalenie magazynów na Tamie Garbarskiej i stracony 16. 12. 1943 r. (...).

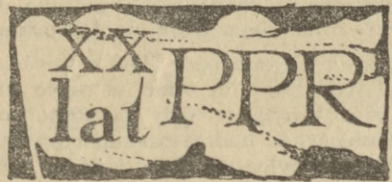
W roku 1940 syn mój (Mieczysław) wyjechał do Warszawy i tam należał do organizacji. Przed pożarem przyjechał nas rzekomo odwiedzić. Trzeciego dnia pobytu zażył męsa, co się znajduje w magazynach i gdzie one są; mąż powiedział mi, że wszystko. Na drugi dzień syn nagle wyjechał. Powiedział mi, że należy do organizacji i musi jechać z powrotem szybko zdać raport, a do Poznania przyjechał, by wydać rozkazy. Syn został aresztowany w listopadzie stracony

ny przez rozstrzelanie 21. 12. 1943 r. w Warszawie pod nazwiskiem Jaworski. Bardzo rozpaczalam po stracie męża i syna, od tego czasu mocno zapadłam na zdrowiu.

Artykuł w gazecie przypominał mi ciężkie dni mojego życia, utratę męża i syna. Dużo się rozpisyje o tych sprawach, ale należałoby też zainteresować się losami wdów po zamordowanych...”

PELAGIA JANKOWIAK

„Przeczytałem w artykule Franciszka Łazowskiego „Oni ocalili przemysł” w „Głosie Wielkopolskim” z dnia 22. VII. 62 r., że przed



wyzwoleniem np. w Poznaniu z inicjatywy tow. F. Danielaka już 1. II. 1945 r. utworzono milicję proletariacką (...).

Pozwól sobie tylko krótko przypomnieć, że: na Dębcu w Poznaniu już 28 stycznia 1945 r. zorganizowany został IV Komisariat Milicji Obywatelskiej przy ul. Opolskiej nr 31 oraz Izba Chorych przy ul. Opolskiej nr 42. Organizatorami byli Biesiada, Tręka, Handke, Władysław Wojciechowski, Czesław Wojciechowski, Karasiński, Zaremba, Mikulski, Andrzejewski i wielu, wielu innych towarzyszy (niektórzy z nich już nie żyją), którzy zabez-

pieczali kościół na Dębcu, szkoły, dworzec kolejowy, ochraniali transporty krajowe, transportowali niewolników niemieckich do obozu na Dębcu, pomagali Armii Czerwonej wypierać hitlerowców z dzielnicy Dębiec i po wypędzeniu hitlerowców z Dębca zabezpieczali mienie społeczne i prywatne, jako pierwsi uruchamiali Zakłady Cegielskiego; działali w styczniu 1945 r., a dopiero potem ruszyli organizować na Górczynie i Łazarzu komendy wojewódzkie, miejską MO; stopniowo poszczególne dzienne zaczęły się organizować w miarę likwidowania resztek oporu gniazd hitlerowskich.

Znowu jako pierwsi zorganizowali pluton operacyjny, który brał udział w walkach o Cytadę poznańską, a po zdobyciu jej, szereg towarzyszy zostało oddelgowanych na powiat obornicki, by tam organizować władze terenowe Milicji, która znowu przystąpiła do walki z zbrojnym podziemiem, cofającym się z wojskami hitlerowskimi i mordercami, zabezpieczając przeprowadzenie reformy rolnej, unarodowienie przemysłu, referendum ludowe, wybory w powiatach: obornickim, wolsztynskim, sulechowskim, nowotomyskim, kościańskim, leszczyńskim.

Na tych terenach ci towarzysze z narażeniem życia, z bronią w ręku brali udział w walkach z bandami Tarzana, Wosia, Jasińskiego itp. O tych terenach, o tych walkach, o tych towarzyszach autorzy w prasie nie nie piszą i milczą. (...).

WŁADYSŁAW WOJCIECHOWSKI
były uczestnik walk w latach 1943/48

Szczecin

Miało to być po wojnie szczęście do poetów. Dość przypomnieć, że właśnie w Szczecinie mieszkali przez szereg lat Konstanty Ildefons Gałczyński, Witold Wirpsza, Nina Rydzewska. Zaczynał w tym mieście swój start Tymoteusz Karpowicz. Przewinęli się także przez Szczecin Wiktor Woroszyński, Roman Bratny...

Bogusław Kogut, omawiając przed dwoma laty pierwsze tomiki najmłodszej generacji poetyckiej Szczecina, pisał:

„Roi się ta poezja od jesiennych dzieł, czyn, kulawych psów, dziurawych butów i kosmatych igraszek. Jest tam wisielczy humor wagabundów, autentyczna rozpacz pustej ulicy, może za dużo deszczu i wszę lalkiej meteorologicznej chandry. Razem — uroczą zabawą w poezję pod patronatem Konstantego Ildefansa. To byłoby bardzo niewiele, gdyby nie fakt, że z całości wynurza się rzeczywiste miejsce poety na ziemi. Tym wierszom mógł patronować zaczarowany dorożkarz, mógł Leśmian, ale musiał im patronować Szczecin. Sa one tak bardzo szczecińskie, by najmniej nie brzyły temat, lecz przez atmosferę, chandrę jedyną, właściwą temu tylko miastu”.

Zgadza się, prawda. Żyłem w Szczecinie przez kilka lat, wiem to najlepiej. Bogusław Kogut z poetów szczecińskich postawił najwyższe wiersze Ryszarda Liskowackiego, ja bym jeszcze dodał wiersze Heleny Raszki. Liskowacki

zdołał sobie uznanie krytyka swoim zaangażowaniem, wyrażającym nie tylko określone tendencje artystyczne, ale przede wszystkim wyraźne manifestowane tendencje moralizatorskie, społeczne czy polityczne. Za to samo i ja cenę Liskowackiego wysoko.

Poezję Heleny Raszki porównywał w swoim szkicu Kogut, z poezją Małgorzaty Hillar i doszedł do wniosku, że jej:

„doświadczenie literackie jest chyba jedynie doświadczeniem własnej myśli, doświadczeniem kręgu zawartego między lampą na biurku i półką z książkami. Ten swoisty brak literackiego obycia by-

najmniej nie wychodzi autorce na szkodzi, przeciwnie, pozwala jej ustrzec się poży, stylizacji odczuć, pozwala jej pozostać prostym i bezpośrednim, a zarazem czułym sejsmografem poetyckim, który nie chce urońić z tego, co następuje codziennie, prowincjonalna i kobieca, niezbyt barwna, ale bardzo prawdziwa”.

Nie mogę się zgodzić z tą oceną. Uważam, że Helena Raszka traktuje owa codzienność najwyżej jako pretekst, i że poetka ta ma znacznie większą kulturę literacką i intelektualną, niż sadyz wnikliwy i obeznany z poezją krytyk. Ufwardza mnie w tym przekonaniu lektura tomiku „Okrucy bursztynu”, jak i nowy, znacznie wyraźniej określony tomik tej samej autorki, „Inny kraj”, dojrzały, lapidarny i subtelny w wyrażaniu uczuć i myśli.

Ryszard Drecki

TROSKA O „WŁASNY ATOM”

Główny nurt starań rządu bońskiego o zapewnienie swej armii uzbrojenia atomowego idzie po linii — rzecz można — „importowej”. Chodzi o uzyskanie gotowych już bomb i środków ich przenoszenia od Stanów Zjednoczonych. Istnieje jednak również nurt drugi, obliczony na dalszą przyszłość — nurt dopracowywania się, jak to określiło swego czasu jedno z ukazujących się w NRF pismek szowinistycznych „własnego, niemieckiego atomu”.

W dziedzinie badań i techniki jądrowej, Niemiecka Republika Federalna nie zaliczała się dotychczas do czołówki światowej. Niemniej od czasu, gdy w roku 1956 państwo to zostało przez swych atlantyckich sojuszników zwolnione od zakazu prowadzenia badań atomowych, uczyniono wiele, aby nadrobić „opóźnienia”. Na szczeblu federalnym powołano nawet specjalne ministerstwo do spraw energii atomowej, które od razu otrzymało po-każny i stale zwiększający się budżet. Na stworzenie bazy dla tych badań wydatkowano w ciągu lat 1957—61, aż 1,02 mld. marek jedynie z funduszy publicznych i jedynie oficjalnie. Suma ta nie obejmuje kwot wydatkowanych na powyższe cele przez wielokapitałistyczne koncerny oraz specjalnie powołane spółki i towarzystwa, jak „Spółka do budowy i eksploatacji reaktorów jądrowych”, „Spółka do finansowania reaktorów jądrowych”, „Towarzystwo badań jądrowych” i in. Przypuszcza się również, że sumy wydatkowane przez rząd federalny i skarby poszczególnych krajów NRF przekraczają owe ujawnione 1,02 mld. DM. Zważywszy te poprawki można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że rzeczywiste nakłady na stworzenie bazy własnych badań atomowych w Niemczech zachodnich wyrażają się sumą rzędu kilku miliardów marek.

Z samego faktu rozpoczęcia badań jądrowych nie czyniono oczywiście tajemnicy, gdyż zresztą trudno byłoby to uczynić. Podkreślano natomiast, że przedmiotem owych badań będzie wyłącznie „pokojowe wykorzystanie energii atomowej”, i w tym duchu przemawia się — oczywiście — do dziś dnia. Przejawem tej pokojowości miało być m. in. założenie, że badania jądrowe prowadzone będą niemal publicznie, w organizacyjnych ramach „normalnej” uniwersyteckiej nauki, w istniejących wyższych uczelniach i instytutach naukowych.

Z tego założenia pozostało jednak niewiele. Prace badawcze — wzorem amerykańskim — przenoszą się wyraźnie do specjalnych ośrodków, wyłączających się coraz bardziej z ogólnego życia naukowego, których prace otacza się coraz ściślej-

szą tajemnicą. Tak ścisłą, iż budzi się podejrzenie, czy centra owe podlegają jeszcze opiece ministerstwa energii atomowej, czy też już ministerstwa obrony.

Jeden z tych ośrodków — Juelich w Nadrenii — zaczyna być wymieniany w Europie z niepokojem. Uruchomiony pod koniec września ub. roku, rozporządzający najnowocześniejszą, dobrze rozbudowaną bazą techniczną, nastawiony jest oficjalnie na obsługę katedr fizyki jądrowej wyższych uczelni w Północnej Nadrenii-Westfalii i realizację pewnych zleceń badawczych dla przemysłu. Nieoficjalnie stanowi — według ogólnego przekonania — serce troski o „własny atom” w niezupełnie cywilnym znaczeniu. Zatrudnia on około 1300 specjalistów, przy czym — według niektórych informacji — cały szereg tych specjalistów uczestniczy już we francuskich próbach atomowych na Saharze. Mówi się również, że ośrodek ten obok prac badawczych znajduje się już wręcz na etapie przygotowań do produkcji broni atomowej.

Ośrodki badań atomowych — choć na mniejszą skalę i z mniej wyraźnymi filiacjami w stosunku do ambicji ministerstwa obrony — powstają, lub też zostają uruchomione również w innych punktach. Od marca 1961 roku działa ośrodek atomowy w Karlsruhe. Ośrodki badań jądrowych powstają w Hamburgu i Monachium. Planuje się stworzenie podobnej placówki we Frankfurcie nad Menem. Wszystko to świadczy o wyraźnym dążeniu bońskich kół rządzących, popieranych aktywnie przez szereg największych koncernów między innymi IG Farben, Degussa, AEG, Siemens) do jak najszybszego osiągnięcia częściowej przynajmniej samodzielności w zakresie techniki atomowej.

Dążenie takie, samo w sobie, byłoby wręcz godne pochwały, jako wyraz dotrzymywania kroku ogólnemu rozwojowi nauki i techniki. Niestety, w konkretnym, zachodni-niemieckim przypadku staje się ono zjawiskiem, które musi być rozpatrywane na płaszczyźnie nie tyle naukowo-technicznej, ile — politycznej, czy — co gorzej: militarnopolitycznej. Nawet bowiem, gdy informacje o stopniu zaawansowania w kierunku bomby A ośrodka w Juelich zechcielibyśmy uznać jako przesadzone, to stworzenie w NRF silnej bazy i silnych centrów badań atomowych pozostaje faktem. Zaś fakt ten — w zestawieniu z całą dotychczasową polityką Bonn — posiada bardzo określoną wymowę polityczną, która musi podważać czujność naszą i innych narodów Europy.

Janusz Krzyński — autor tomiku „Smak moreli” uprzywilejował coś w rodzaju poetyckiego repertuaru, jest portrecistą swoich doznań, młodzieńczych rozterek i lektur, wśród których dominują angielscy maryniści.

Wrażliwym portrecistą miasta jest również Ireneusz Krzysztof Szmidt, który chętnie korzysta z formy ballady, ukazując świat prostych mieszkańców przedmieść, zautków porożyw, kawiarni itp.

Prawie wszyscy poeci szczecińscy posługują się chętnie szlafazem muzycznym i malarskim, zacerpnęli przed wszystkim od impresjonistów francuskich. I co jeszcze godne uwagi — poeci owi nie przybierają pozy śmiertelnie poważnych intelektualistów, chętnie posługują się groteską, humoreską, przedkładając filuternie zmużenie oka nad egzystencjalistyczną pozę.

Autorem, który przybrał taką pozę, jest jeden tylko Tadeusz Grabowski, ze swoim tomikiem „Pozycja do wyjaśnienia”. Nie dało to udanych efektów, przeciwnie — jest to tomik wyjątkowo szluzny, przejęte formy wyrazu kłócą się z treścią, brzmią fałszywie, czasem zenująco.

Kłęska poety — jak się zdaje — wynika w wypadku Tadeusza Grabowskiego stąd, iż uległ on złudzeniu, że, aby powstał wiersz nowoczesny, wystarczy samo wyciszenie oderwanych od siebie przedmiotów czy znaczeń, bez podporządkowania ich jakiegś określonej myśli przewodniej.

Feliks Fornalczyk

Baedeker poetycki

tylko częściej w ich wierszach trafiają się banalne stwierdzenia, ograne metafory, کلیwy nastrój.

Wśród nowszych tomików dobrze zapowiedział się Edward Balcerzan zbior-kiem „Morze, pergamin i ty”, określając już tytułem zakres swoich zainteresowań. Na szczecińskim gruncie jest to poezja odrębna, racjonalistyczna, wyraźnie nawiązująca do konstruktywistów. W realizacji Balcerzana na tyle atrakcyjna, że zapewnia mu nie tylko w Szczecinie pozycję szczególną, ugruntowaną rzetelnymi podstawami wiedzy literackiej i filozoficznej. To, co może drażnić i niepokoić w wierszach Balcerzana, jest zapewne nabyte i sądzę, że poeta w dalszych swoich publikacjach pozbędzie się zapożyczeń.

Dokończenie

Jerzy Korczak

Ilustr. Ewa Pruska

pogrzeb Z gramofonem

Rozmowa Kolas z wdową przeciągała się. Kobieta odchyliła woalkę i widać zobaczyłem, że oczy jej były suche, a usta wykrzywione złością. Większość zebranych ludzi zaczęła się niecierpliwić; czas oczekiwania skracał pogaduszkami i obserwowaniem siebie nawzajem. Kilku mężczyzn paląc na próg mogiły, gdzie tkwiła duża dębowa trumna, tłumilo dziwnie złośliwe uśmiechy.

Naraz stwierdziłem, że wszyscy grabarze jakby się rozplynęli. Także i ksiądz zniknął znad otwartego grobu. Podążyłem wzrokiem dalej. Sąsiednią alejką kroczył nowy kondukt, mniej liczny niż nasz, ale bardziej uroczysty. Było kilka wieńców, a prawie wszyscy uczestnicy ceremonii trzymali w ręku kwiaty. Blady ksiądz szedł tuż za najbliższą rodziną jakby zapomniał o samotnej trumnie, która czekała na zakopanie. Nie wiedziałem, co robić — siedzieć za naszym grobowcem czy od razu biec do następnego pogrzebu. Także i pozostała czwórka przeżywała podobną rozterkę: łarmosili mnie za rekaw i nerwowo deptali w miejscu po nierównej darni. Sytuację wyjaśniła dopiero rozszczołana wdowa. Szybko pobiegła na przelaj przez sąsiednie groby i po paru minutach wróciła z dwoma grabarzami. Mieli zadowolone miny i było jasne, że musiała nastąpić zgoda. Bez słowa opuścili trumnę na parciowych pasach do dołu, szybko chwycili za łopaty. Zanim upadła ostatnia gródka ziemi rozległo się jeszcze kilka wysokich, histerycznych okrzyków, które wydały z siebie kobiety w czerni — i było po wszystkim. Kiedy ludzie się już rozeszli podbiegł do nas Kolas i z uradowaną miną wręczył mi naszą dolę. „Gdy wdowa się sławia, to najlepiej tylko trochę przeciągnąć ceremonię. Zawsze wtedy forsa się znajdzie. Przecież nieboszczyk musi być pogrzebany, tak czy nie?” — tłumaczył wodzirej grabarskiej braci. A teraz chodu, chłopaki. Sadowić się za następnym kamieniem. Już do drożdziej kończy modły.

Tego dnia pięć-krotnie zmienialiśmy kryjówki za grobowcami. Ale były to dni lepsze, podczas których tylko z największym trudem walczyliśmy przy śpiewie z zadyszka. Przestrzenie na miejscach cmentarzach były niemałe i porządek nie musieliśmy się zwinąć, żeby zdążyć z jednej ceremonii na drugą. Zdarzało się też, że przez dzień lub dwa na cmentarzu panowała głucha cisza. Nieboszczyków — ani na lekarstwo. Na szczęście dni łusłych było znacznie więcej. Chwaliliśmy też sobie nasze nowe zajęcia — dobre zarobki, niezależność i świeże powietrze, odkąd towarze nam ogorzały a apetyt zaostriął się do nie-możliwości.

W sobotę przechodząc koło teatru zobaczyłem czarną flagę powiewającą na frontonie budynku. „Antoni Jabłoński. Aktor. Żył lat 70”. Suche zdania nekrologu, które przez ostatni rok były dla mnie wyłącznie przedmiotem zarobkowych spekulacji zabrzmiały tym razem całkiem inaczej. Jabłońskiego podziwiałem nie tylko w wielu świetnych kreacjach na scenie. Zawdzięczałem mu także i w życiu niejedno. Pomimo to doznałem w pierwszej chwili całkiem nieoczekiwanego czegoś w rodzaju ulgi. Było to uczucie tak ohydne, że potem trudno mi się było otrząsnąć z wyrzutów sumienia i długo rozmyślałem na temat własnej podłości. Staremu aktorowi byłem winien wcale pokątną sumię, która narastała z miesiąca na miesiąc. W okresie, gdy ledwo wiązałem koniec z końcem Jabłoński wykupywał za mnie abonamenty na obiady w klubie. Robił to w sposób tak naturalny, że nigdy nie odczuwałem żadnego skrupułów. Każdego ostatniego dnia miesiąca wręczał mi niebieski kartonik i przymrużając oko mówił: „Oddasz mi, jak będziesz mógł?” Z początku próbowałem się celować, ale potem dałem temu spokój, a nawet kiedy z forsa było już całkiem kruchko nagabywałem go o niewielkie pożyczki, których nigdy mi nie odmawiał. Miał w tym, być może, także i on swoje wyrachowanie: trzymał mnie zawsze przy stoliku długo jeszcze po zjedzeniu obiadu i snuł niekończące się opowieści o swoim ukochanym Paryżu. Spędził tak kilka najpiękniejszych lat

i nic dziwnego, że tkwił po uszy we wspomnieniach. A że był samotny i nie miał się przed kim wygadać mnie uważał za swego jedyne go powiernika. Tę rolę w jego życiu objąłem zresztą przez przypadek. Okłamałem go kiedyś, że byłem w Paryżu przed wojną z rodzicami. Potem wpadłem już we własne sidła; przesiadującem więc dokładnie plan Paryża, przewodnik po mieście, a także zmusiłem się do lektury kilku książek, których akcja toczyła się w stolicy Francji. Z czasem i ja sam uwierzyłem, że znam dobrze Paryż.

I tak przez to niewinne kłamstwo trafiłem do serca starego aktora.

Długo tkwiłem przed nekrologiem wczytując się wciąż od nowa w krótki tekst obramowany czarną obwódką. Potem wolno powlokłem się na piechotę do domu, choć mieszkaniem teraz daleko od śródmieścia w komfortowej kawalerce. Czekali tam już Józio z Zezołem, jak zwykle pełni energii i inicjatywy. Z terminarzem w ręku informowali mnie o planie pracy na jutro i dni najbliższe, ale wszystko to jakby do mnie nie docierało.

— Żniwo jak nigdy! — radował się Józio zacierając dłonie. Jeśli w następnym miesiącu polecą tak samo dobrze — wpłacam na „Octavię”. Już się nawet dowiadywałem. Tylko jak na złość

którzy szybko błysnęli flesztami, a następnie nachylił się nad otwartą trumną. „Kosibowicz, Kosibowicz!” — przemknęło przez ciasny przedsionek. Był to sam prezes Stowarzyszenia Artystów, którego delegowano na pogrzeb ze stolicy. Wiedziałem od Jabłońskiego, że całe życie darł ze sobą koły, a Jabłoński na sam dźwięk jego nazwiska dostawał wypieków ze złości. Teraz Kosibowicz rozejrzawszy się po zebranych wygłosił mowę krótką i płomienną, która była prawdziwym aktorskim majstersztykiem. Słowa padały z jego ust powoli, a lekko ochrypli, zatamujacy się głos i krótkie, co kilka zdań dokonywane przerwy świadczyły o bólu i wzruszeniu. Potem czterech mło-

Wreszcie przed otwartą mogiłą wypchnięto znanego w mieście aktora Wojciecha Karp-Karpińskiego, który od lat niezmiennie prezesował w jednym ze stowarzyszeń. I znów jak przed godziną w teatrze i ten mówca odczytał dobrą chwilę aż fotoreporterzy sfotografują go na tle trumny, a następnie pogładziwszy podczernioną, falistą czuprynę rozpoczął:

— Zegnamy dziś znakomitego kolegę i wielkiego artystę. Wszyscy pamiętamy go w wielu kreacjach, które na zawsze przejdą do historii sceny polskiej. Zmarły był nie tylko znakomitym aktorem, ale także człowiekiem wielkiego serca i ducha...

Karp-Karpiński wygłaszał swoje przemówienie płynnie i z przejęciem, ale nagle całkiem nieoczekiwanie oderwał oczy od trumny, spojrzał gdzieś w bok, gdzie stała owa starszuszka w słomkowym kapeluszu i po króciutkiej przerwie zaczął głosem zmienionym od gniewu tłumaczyć, że wina za balagan na dzisiejszym pogrzebie spada wyłącznie na stowarzyszenie reprezentowane przez koleżankę Jastrząb. Stowarzyszenie to nigdy nie potrafiło niczego przyzwoicie zorganizować i dlatego najwyższy już czas pomyśleć o zmianach w zarządzie, które trzeba przeprowadzić bez względu na stanowisko stolicy!

Powiał nieprzyjazny szmerek, ale Karp-Karpiński udał, że tego nie słyszy. Nie tracąc rezonu podsumowywał działalność stowarzyszenia popieranego przez Warszawę w ogóle, a prezesa Kosibowicza w szczególności, po czym jak gdyby nigdy nic powrócił znów do osoby zmarłego. Okazało się, że to właśnie drogi zmarły wyrażał zawsze te poglądy, które on, jego bliski przyjaciel, czuł się w obowiązku przekazać nad otwartą mogiłą licznym wielbicielom talentu wielkiego aktora.

Czułem, że jeszcze chwila, a wylezę z grobowca i wyrzaskam po góbie tego podstarzałego amanta, któremu Jabłoński nigdy nie odpowiadał na

Z przygotowanego do druku tomu opowiadań

dych aktorów wyniosło trumnę na ramionach do karawanu, a cały tłum pognał do framwajów i autobusów, aby po godzinie spotkać się na miejskim cmentarzu. Byłem umówiony z zespołem przed samym pogrzebem w naszej knajpce „Pod trupem”. Gryzła mnie chandra i chciałem, wbrew swoim zwyczajom, wychylić jednego głębszego.

W knajpie panował ciepły, swojski smrodek i jak zwykle chrząpiał stary gramofon z nigdy nie odkurzaną tubą. Za szynkasem dyżurował dziś stary Tuleja, który na mój widok uśmiechnął się przyjaźnie i jakby czytając mi w myślach od razu napełnił kielichy. „Aby nam się armała, czyli działało!” Wypiliśmy zanim przyszła reszta. Józek z Zezołem widząc, że wciąż drąży mnie żalność próbowali jeszcze namawiać do picia. „Mamy kwadransik czasu. Tyknij sobie, dobrze ci zrobi! A może weźmiemy ćwiartkę i wlejemy Jabłońskiemu do grobu, co chłopaki?” — zaproponował któryś. „Staruszek był przecież trunkowy!” Pokrętny parsknął śmiechem i wśród wesołych przygłuszek zaofiarował się sfilnować ten projekt. Ja jednak wciąż nie potrafiłem wrócić do swojej zwykłej beztroski choć bardzo się o to starałem. Moje krótkie zamyślenie przerwały słowa francuskiej melodii, która płynęła z ustawionego na szynkasie gramofonu. Płyta charczała nieznośnie, a w kilku miejscach piosenkarka jakby miała czkawkę. Pewno igła była także zużyta. Ktoś kto był najbliższym szynkasu usiłował wreszcie zamknąć gramofon, ale nagle odezwał się głośny okrzyk:

— Nie ruszaj!

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z tego, że to ja krzyknąłem. Puszczono więc znów od nowa płytę i nikt już nie próbował tłumić tej kakofonii dźwięków, przez którą przebiegały zadarte słowa: „Parle moi d'amour”. Mruczałem pod nosem tę melodię naśladowując mimo woli grubego głosu Jabłońskiego: tym starym szlagierem ilustrował on stale swoje paryskie wspomnienia. Zobaczyłem przed oczami wyraźnie jego miętą, otwartą twarz i zrobiło mi się całkiem nieoczekiwane łże na duszy. Czułem, że powracam wreszcie spokój, który od dwóch dni zupełnie mnie opuścił. Kazałem jeszcze na odchodnym postawić wszystkim po setce wódki i gdy Kolas dał znak, że spod głównej bramy rusza kondukt pierwszy wyszedłem z „Pod trupa” i na czele zespołu ruszyłem stałym szlakiem na cmentarz.

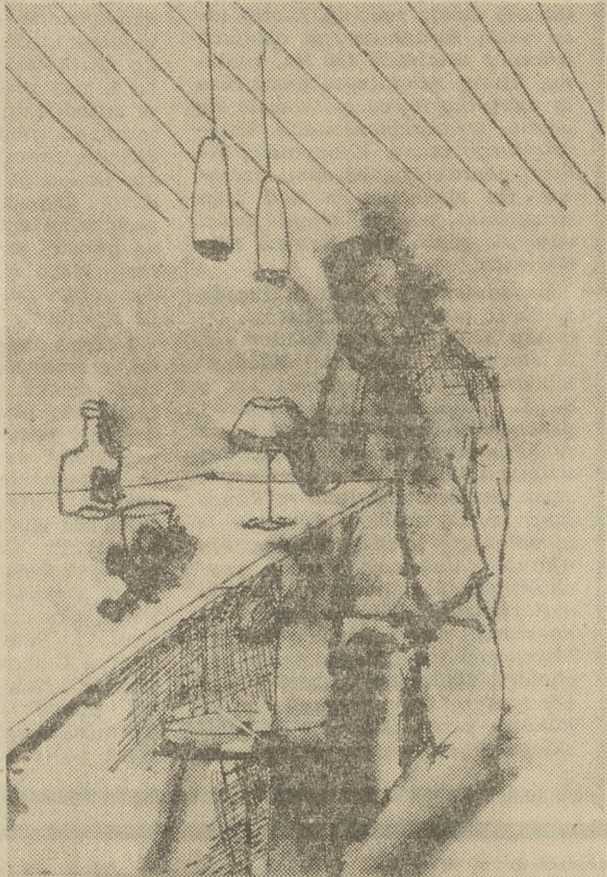
Ludzi była chmara i w gęstym tłumie omal się nie zgubiłem. Kiedy spoceni dobiegaliśmy wreszcie do miejsca, gdzie miał być pochowany Jabłoński okazało się, że w ostatniej chwili odnalazła się jakaś kuzynka, która na przekór przekonaniom zmarłego zażądała przy pochówku księdza. Wstrzymało to trochę ceremonię. Także liczne teatralne związki i stowarzyszenia nie mogły się pomiędzy sobą dogadać co do kolejności mówców. Stojąc za najbliższym grobowcem przysłuchiwałem się wzajemnym docinkom i przygłuszkom.

— To przecież śmieszne, abym ja przemawiała po koledze Grzywacz — tłumaczyła jakaś mocno uróżowana starszuszka w czarnym, słomkowym kapeluszu. Ostatecznie niedawno miałam jubileusz pięćdziesięciolecia pracy na scenie. A poza tym stowarzyszenie, które reprezentuję jest... Dalszego ciągu nie dostrzegłem, bo Zezół nie potrafił powstrzymać śmiechu i parsknął mi w samo ucho.

ukton. Wszyscy wiedzieli, że po każdej premierze Jabłońskiego, Karp gadał na lewo i prawo, że gdyby on zagrał tę rolę, to dopiero by pokazał. Bo przecież Jabłoński to żaden aktor i do tego od dwudziestu lat ma sklero-

Do grobu podszedł z godnością prezes Kosibowicz. Widać było, że z najwyższym wysiłkiem tłumie wściekłość. Leciutko odsunął Karp-Karpińskiego od trumny. Patrzyłem na dostojną postać prezesa, któremu tak bardzo nadepnięto na odcisk. Usiłowałem odgadnąć co stanie się za chwilę. Bo, że coś się stać musiało, było więcej niż pewne. Prezes miał w ręku piękny, pilśniowy kapelusz o zielonkawym odcieniu. Wpatrzyłem się całkiem bezmyślnie w to jego nieskazitelne nakrycie głowy i wówczas kapelusz wysunął mu się z dłoni i wleciał do środka mogiły. Kosibowicz zrobił się tak bładny, jak gdyby go kto nagle mąką obsypał, a ręka, w której trzymał kapelusz gwałtownie mu zadrgała. Zgarbiony i z pochyloną głową cofnął się szybko z powrotem w środek tłumy. Wtedy jakby spod ziemi wyrosła owa niesforna scena, co przedtem nie mogła dorwać się do głosu. Trzęsąc się z przejęcia i zdenerwowania zaczęła coś sepieniać. Ja jednak niczego już nie słyszałem ani nie widziałem. Jednym susem, roztrząsając towarzyszy, przesadziłem sąsiednią kwaterę i biegiem podążyłem w stronę cmentarnego płołu. Było tam znane tylko stałym bywalcom wyjście na boczną ulicę, a stąd tylko kilka kroków „Pod trupa”. Wpadłem do knajpy z rozwianym włosiem i chwyciłem za gramofon. — „Płyta jest?” — spytałem przeżalonego Tuleję, który na mój widok szeroko się przeżegnał. — „Jaka płyta?” — „No ta francuska!” Tuleja pokiwiał potakując głową. Jak szalony wybiegłem stamtąd, trzymając pod pachą odrapana skrzynkę z ogromną tubą. Skradając się jak kot wróciłem tą samą drogą z powrotem i bez słowa postawiłem gramofon na zwirowanej ścieżynce. Właśnie uróżowana starszuszka wyszła swoją mowę, gdy zwróciłem tubę w stronę mogiły i nie bacząc na protesty kolegów, którzy przezywali, że będzie to nasz ostatni występ, puściłem płytę. Na cały cmentarz popłynęły dźwięki francuskiej piosenki, tej samej, którą tak bardzo lubił stary Jabłoński. I chociaż płyta miała zdradzić głos i strasznie chrząpiała, była na pewno ostatnim miłym dla niego głosem z tego świata.

A teraz, kiedy wszystko już powiedziałem, niech pan doktor rozluźni mi te łasiemki na plecach. Przecież pan chyba nie sądzi, że to co zrobiłem było niewłaściwe, prawda, panie doktorze?



„Mein Kampf” w szkołach NRF?

Decyzją krajowych ministrów oświaty, w zachodniemieckich liceach połączono historię, geografie i naukę o świecie współczesnym w jeden przedmiot — naukę o społeczeństwie (Gemeinschaftskunde). Obecnie toczą się dyskusje nad metodyką nauczania tego przedmiotu.

Wysuwa się między innymi postulat, aby proces nauczania odbywał się tutaj systemem uniwersyteckim, to znaczy w drodze pracy ucznia nad źródłami. Oznaczałoby to konieczność wprowadzenia do szkolnych bibliotek szeregu oryginalnych tekstów, przy czym otwarcie wymieniania się na ich czele osławione dzieło Hitlera „Mein Kampf”. „Książka Hitlera — argumentują zwolennicy „źródłowości” — należy do historii i uczniowie, jeśli tego pragną, mają prawo poznać szczegółowo tę część dzieł.”

Powiedzmy sobie, że „Mein Kampf”, czy „Mit XX wieku” są źródłami o dość specyficznym charakterze, zaś ich aktualność każe je stawiać w nieco innym rzędzie niż na przykład dokumenty pierwszych Ottonów. Mimo to jednak można by się ich po znawaniu nie sprzeciwiać, gdyby

poznający — to jest młodzież zachodniemiecka — wychowani byli w duchu zapewnającym krytyczne podejście do owych tekstów; młodzież ta jednak jest w swej masie ideowo pusta, zaś o prawdziwym obliczu hitleryzmu wie bardzo niewiele. Można by się ich udostępnianiu nie sprzeciwić, gdyby udostępniający — to jest nauczyciele zachodniemieccy — swą postawą ideową gwarantowali właściwe kierowanie pracą nad źródłami; nauczyciele ci wszelako stanowią jedną z najbardziej do dziś przesiąkniętą hitleryzmem grup zawodowych w NRF.

W tych warunkach powstaje uzasadnione pytanie: czy wprowadzenie „Mein Kampf” do bibliotek szkolnych oznaczać będzie „naukowe traktowanie przedmiotu” czy też — otwarcie drzwi dla neonazistowskiej infiltracji młodych umysłów? I czy — jeżeli koniecznie już upierać się przy przekształceniu licealnych lekcji w uniwersyteckie seminaria — dla poznawania hitleryzmu nie byłoby nauczania bardziej od adolofowej klasyki właściwe takie źródła jak na przykład stenogramy procesu norymberskiego czy choćby „Pamiętnik Anny Frank”?

Irena Frackowiak

Czy jesteśmy zadowoleni z życia?

Iż złoto do złota, my Polacy kochamy się w żelazie... — Tak się ongi wśród rodaków mówiło, a ponieważ na miejscu było sporo dymarek i innych wytwórni żelaza, ludzie przedkładający ferum nad aurum mieli powody do zadowolenia. Dzisiejsza psychologia uznałaby, że „posiadali określony stopień zaspokojenia potrzeb oraz związane z nim poczucie zadowolenia”.

Minał szmat wieków i gust Polaków się zmienił. Nie żelazo zwabia pewnych młodzieńców przed wystawy „Jubiler”, gdzie pewni ich rówieśnicy szepem zaczepiają przechodniów: — Ma pan coś do sprzedania? Nie o żelazie marzą uroczę bywalczynie modnych lokali. Nie dla żelaza stawiamy co tydzień 2 złote w nadziei na milion...

Szkoda... Samej stali produkujemy dziś prawie 8 milionów ton.

70 procent „tak“

W samopoczuciu nie decyduje jednak majątek, wysokość uposażenia lub suma innych dochodów. Istnieje prawo przystosowania, po-

legające na tym, że człowiek dobrowolnie redukuje potrzeby, których nie może zaspokoić. Marzy, na przykład, o „czterech kółkach”, ale wiedząc, że nie zdobędzie się na kupno samochodu, przestaje o nim myśleć i oszczędza na motocykl.

Przystosowanie jest sztuką dostępną ludziom trzeźwo myślącym. Wprawdzie tradycyjne cechy Polaków leżą na antypodach tej sztuki, lecz 16 proc. rodaków, zapytanych czy są ogólnie biorąc zadowoleni z życia, odpowiedziało, że zdecydowanie tak, a 53 procent — że raczej tak. Badana próbka obywateli PRL liczyła 2387 osób dobranych w taki sposób, że przedstawiali sobą dużo różnych sytuacji społecznych, materialnych i rodzinnych.

Zatem prawie 70 procent zadowolonych — ho, ho! Jaki stąd wniosek? Chyba ten, że... jedno z dwójga. Albo niezadowolenie, burczenie, wy-myślanie, przeklinanie, marudzenie itd., itp., z którym spotykamy się w tramwajach i innych miejscach masowego współżycia, jest mechaniczną reakcją nerwową, nie wywodzącą się z ogólnego stosunku do życia, albo — odpowiedź na ankietę wynika z pewnego porównania. Porównuje się obecną swoją sytuację z sytuacją, powiedzmy sprzed pięciu laty — i dwie trzecie ankietowanych odpowiadają: jesteśmy z życia zadowoleni.

Małżeństwo

Jeżeli 16 procent ankietowanych odpowiedziało, że są z życia zdecydowanie zadowoleni, co najmniej tyle samo powinno stwierdzić, iż są bardzo szczęśliwi w małżeństwie.

Rzeczywiście okazuje się, że PRL liczy 17,6 proc. stałych bardzo szczęśliwych i aż 44,2 proc. szczęśliwych.

Trochę zaskoczyło nas owo szczęście małżeńskie, jako fundament ogólnego zadowolenia z życia: tyle się pisze, czyta i mówi o rozbiegu współczesnej rodziny. Nie po raz pierwszy socjologia prostuje utarte opinie. Nieszczęśliwych małżeństw doliczono się, drogą ankiet, tylko 6,7 procent.

Stosunki z otoczeniem

To rodzina, bądźcie pewni, także ludzie, chociaż krewni... Dowcip — dowcipem, ale 68 procent ankietowanych pochlebnie ocenia swoje współżycie z rodziną, a jeszcze większa ilość — 78 procent — chwali sobie stosunki z najbliższymi członkami rodziny. Dobre i bardzo dobre stosunki ze zwierzętami w pracy utrzymuje 68 proc. badanych, a z władzami terenowymi (to pytanie zadano specjalnie rolnikom indywidualnym) prawie 60 procent. Jednak jeden procent rolników stwierdza, że ich stosunki z władzami układają się bardzo źle. Gdyby przyjąć, że podobnie myśli co setny chłop gospodarujący indywidualnie, co najmniej sto tysięcy ludzi zna-

lazłoby się za murem zadrzań. Fakty takie lekceważyć nie wolno.

Zadowoleni z siebie

Trudno, demaskujemy się do końca. Zadowolenie z życia, to przede wszystkim zadowolenie z siebie. Kiedy mężczyzna stwierdza, że jest szczęśliwy w małżeństwie, zna- czy, że podoba się sobie w roli małżonka darzącego szczęściem wybra- ną (na czas dłuższy) kobietę. I vice versa.

Podobnie jest z zadowoleniem płynącym z pracy. Istnieje wyraźny związek między przywiązaniem do pracy (bardzo ją lubi 24,4 proc. ankietowanych, lub — 48 procent), a świadomością, że właśnie w tej pracy można zabić posiadanymi umiejętnościami (przeszło 77 proc.). I dalej: związek między zadowoleniem z pracy, a jej dochodowością i stabilizacją. Prawie jedna czwarta zatrudnionych poza rolnictwem sądzi, że ich zarobki będą wzrastały (32 proc. nie ma zdania w tej sprawie), a połowa uważa, iż wykonywana praca daje pełne poczucie stałości.

☆

A więc dwóch Polaków na trzech, to ludzie zadowoleni z życia? Nie upraszczajmy. Autorzy ankiety zapowiadają dalsze badania, które pogłębiają dane o warunkach, w jakich czujemy się zadowoleni. Może zmienia się wskaźniki, może się okazać, że nieujęte w pierwszym kwestionariuszu pozornie drobne sprawy, są tymi czynnikami, które... Poczekajmy.

Teatr czterech milionów

Dokończenie ze str. 1

damy bogate tradycje kabaretu literackiego, który nie zawsze jest dość „telewizyjny”, natomiast nie ma w Polsce tradycji różnych music-hallów, różnych „shawów”, a na potrzeby telewizji udaje się zdobyć tylko 10—20 proc. wykonywanych i oryginalnych tekstów piosenekarskich, wszystkie inne są adaptowane. Stąd tak często można w telewizji zobaczyć i usłyszeć teksty stare, ograne już, ale przez to — tanie. Zaledwie jedną trzecią zaplanowanego programu może polska telewizja opłacić z własnych środków. W porównaniu z innymi telewizjami wyglądamy tu szczególnie ubogo.

A przydałyby się wyciągi z operetek, składane programy telewizyjne, przydałyby się współpraca z popularnymi „Podwieczorkami przy mikrofonie”, które mogłyby się łatwo zamienić w „Podwieczorki przy kamerze telewizyjnej”. Projekty są ogromne, możliwości znacznie skromniejsze.

A tu tymczasem liczba telewizorów rośnie z dnia na dzień w tysiące. I trzeba temu — radosnemu przecież faktowi — jakoś zaradzić i tym apetytem zadośćuczynić.

LESZEK GOLIŃSKI

Eugeniusz Paukszta

Bliżej wiedzy

Przy nieustannym wzroście liczby odbiorców książki, nie zawsze dostrzega się jednoczesną zmianę w zainteresowaniach czytelników. No bo przecież odbiór beletrystyki jest coraz większy... Tak, ale nieproporcjonalnie szybszy jest wzrost zainteresowania książką naukową, popularno-naukową, pamiętnikami, wspomnieniami, histori... Należy z uznaniem przyklasnąć wycieczki tych tendencji przez wydawców.

Zacznę dziś od pozycji raczej po prostu faktograficznej. Chociaż... chociaż dla młodego pokolenia właśnie lektura tej książki stanie się nauką, wiedzą, do czego może doprowadzić człowieka zwyrodniony ustrój. Staraniem „Czytelnika” ukazała się książka wstrząsająca w swojej wymowności, „Pamiętniki nauczycieli z obozów i więzień hitlerowskich 1939—1945.” Z obfitego pokłosia ogłoszonego przed parą laty przez ZNP konkursu wybrano 14 najcenniejszych prac. Nie braknie tutaj i dobrej literatury, ale przede wszystkim to faktografia. Lektura ponura ale mimo wszystko chyba ciągle dzisiaj jeszcze konieczna. Musimy bowiem pamiętać...

W jakiś sposób blisko z poprzednią związana jest inna książka, wydana przez „Książkę i Wiedzę”. Jest to arcydzieło praca Alfreda Liebfelda „Kruppowie — dzieje czterech pokoleń”, inaczej dzieje rodziny, której losy wąż zasadniczo na dziejach Niemiec ostatnich 150 lat, rodziny, której działalność umożliwiała w przyszłości, co zsumowało się potem w okrucieństwach hitlerowskiego czasu. Kruppowie, ludzie, charaktery, za nimi szerokie tło społeczne, a nad tym wszystkim ponura wizja wciąż odnawiających się zbrodni niemieckich.

Zagadnienia psychologii znajdują coraz nowych entuzjastów. Ucieszy ich zapewne wiadomość, że staraniem „Książki i Wiedzy” wydano przekład głosnej pracy S. L. Rubinsztejna „Podstawy psychologii ogólnej”, książka która tłumaczona na szereg języków, witana i krytycznie i z najwyższym uznaniem, została w końcu jako trwała wartość i wkład w tę dziedzinę wiedzy. Rubinsztejn ujmując całokształt wiedzy psychologicznej z punktu widzenia materializmu dialektycznego. Równocześnie, nakładem PWN opublikowano tom „Zagadnienia psychologii społecznej”, szeroki wybór z literatury amerykańskiej do konany przez Andrzeja Malewskiego. Publikowane teksty łączy

jeden mianownik, dążenie do pewnej weryfikacji i syntezy dotychczasowego zasobu wiedzy teoretycznej.

Korzystając z okazji, śpieszę poinformować czytelników, że wznowiony został pierwszy tom „Historii Filozofii”, opracowany przez Instytut Filozofii Akademii Nauk ZSRR. O dziele tym pisałem nieco szerzej przy okazji anonsowania tomu drugiego, tym razem więc poprzestanę tylko na wzmiance.

Jednocześnie należy się uradować nową, współczesną pozycją przynoszącą chlubę naszej etnografii. Jest to wydane przez „Ossolineum” praca zbiorowa (pod redakcją Anny Kutrzeba-Pojnarowej) pt. „Kurpie — Puszcza Zielona”, ukazująca sytuację kulturową ukształtowaną przez trzy generacje lud-

ności wiejskiej zamieszkałej na dawnych terenach puszczańskich, ze szczególnym zwróceniem uwagi na tradycyjne zajęcia miejscowej ludności.

Z satysfakcją mogę odnotować bardzo udaną monografię krajoznawczą „Karkonosze” (Wyd. „Sportu i Turystyki”) opracowaną przez Tadeusza Stecia i Wojciecha Walczaka, compendium wiadomości o przyrodzie, człowieku, wraz z aktualnym dodatkiem w weryfikującym praktyczne wiadomości dla turystów. Takich monografii trzeba nam jak najwięcej! „Iskrom” należy się z kolei po dziękowanie za wznowienie (V wydanie) „Mitów greckich” Wandy Markowskiej, najlepszej chyba u nas pracy, wprowadzającej w zawiąski, pasjonujący świat mitologii greckiej. Zaleca się tę świetną pracę zwłaszcza młodzieży. Drugą pozycją „Iskier”, bardziej wycieczkową, choć od tych wizji czasem się jeżą włosy na głowie, jest przetłumaczony z rosyjskiego świetny tom opowiadań fantastyczno-naukowych „Alfa Eridana”.

I teraz dwie prace, nad którymi, trzeba się przysiąc, ja, raczej daleki od nauk ścisłych, spędziłem parę wieczorów z radością i pożytkiem. „Wiedza Powszechna” wznowiła świetną pracę, popularnie wprowadzającą w arkana matematyki, mianowicie Edwarda Köflera „Z dziejów matematyki”. Czyta się to momentami jak baśń z tysiąca i jednej nocy. Druga pozycja, nakładem PWN, ukazała się w ramach „Biblioteki Powszechniej”. Jest to George Camowa „Minister Tompkins w krainie czarów” kapitalnie udana próba popularnego wprowadzenia laików w świat nowych pojęć fizycznych.

Z TEK I ST. MROWIŃSKIEGO



Filip Nowak

kompozytor poznański



Powstanie Warszawskie

to tytuł znakomitego artykułu Zenona Kliszki w *Nowej Kulturze*. Artykuł ten ukazał się po raz pierwszy 22 października 1944 r. w Odrodzeniu, wychodzącym wówczas w Lublinie. Autor napisał ten artykuł pod pseudonimem Antoni Ruszkiewicz. Nowa Kultura powtórzyła (bez zmian) wspomniany artykuł nie tylko dlatego, że nie jest on znany większości społeczeństwa, które pozostawało jeszcze pod okupacją hitlerowską, ale również dlatego, że zawiera wiele interesujących, pisanych na gorąco, spostrzeżeń cennych jako materiał dla historyków.

Zenon Kliszko zaczyna od opisu sytuacji politycznej i militarnej, jaka istniała w połowie lipca 1944 r. Pisanie o nastrojach panujących wśród mieszkańców Warszawy, o panice, która opanowała Niemców. Pisanie wreszcie o tym, że termin powstania wyznaczony początkowo na 27 lipca był kilkakrotnie przesuwany.

„W domu, na ulicy, gdzie toczyło się życie na wójt legalne, po biurach i urzędach polskich dyskutowano zawzięcie, czy należy już rozpocząć. Zdecydowana większość wypowiadała się przeciwko natychmiastowemu wszczęciu otwartego powstania zbrojnego. (...) Kierownictwa polityczne i wojskowe demokratycznych ugrupowań i partii z dużą obawą obserwowały tę nagłą aktywność dowództwa AK (...) Byli wśród nas tacy, którzy ją lekceważyli, powołując się na to, że nie ma dotąd żadnego współdziałania między dowództwem AK, a dowództwem Armii Czerwonej, że jeśli nawet dowództwo AK myśli poważnie, to nie będzie

miał odwagi brania na swoje barki całkowitej odpowiedzialności za podjęcie decyzji (...)”.

Niestety, stało się inaczej. Mało tego, już w czasie trwania powstania AK nie rezygnowało z monopolu kierowania walką i sabotażem wszelkie wysiłki Armii Ludowej zmierzające do utworzenia wspólnego dowództwa.

„Wbrew niemu (dowództwu AK — dop. Lektora) na barykadach i na odcinkach tworzyło się wspólne dowództwo. Często dochodziło do tego samorzutnie, często było to dowództwo jedno lub dwuosobowe. Objętość jego, oficer, którego inicjatywa, osobista odwaga i samozaparcie wytrzymywały próbę ulewnej ognia, oficer, który w ciężkich, krytycznych momentach nie tracił głowy, nie popadał w panikę. Coraz bardziej zacieśniały się różnice między żołnierzami AL i AK, między oficerami liniowymi AK i oficerami AL. Wszyscy byli powstańcami, wszyscy byli żołnierzami, jednakowo narażeni na śmierć i kalectwo. W surowej atmosferze walki ze wspólnym wrogiem, który nikogo nie oszczędzał, rozdzieliło się braterstwo broni żołnierzy AL i żołnierzy AK”.

Radzimy przeczytać ten znakomity artykuł. Zenon Kliszko jako uczestnik powstania oceniał sytuację trzeźwo. Sam zresztą tuż przed zakończeniem walki wraz z dowództwem AK na Żoliborzu brał udział w opracowaniu planu przeprawy przez Wisłę. Artykuł, choć napisany bez mała 18 lat temu, zawiera w sobie ogromny ładunek beznamiennej oceny historycznej.

Jak budować taniej?

Polityka publikuje artykuł p. Godzina słońca Jerzego Stępowskiego. Autor szuka odpowiedzi na pytanie: jak oszczędzać, by budować więcej mieszkań? Z jakim pytaniem zwraca się też redakcja Polityki do Czytelników. A oszczędzać jest na czym:

„W Szwecji budowa 1 m sześć. pochłania przeciętnie 5 roboczo-godzin, w W. Brytanii — 6,5, we Francji — 7,2, w Czechosłowacji — 6,5. W Polsce, niestety, od 8,6 do 9,1 roboczo-godzin (...) W czerwcu ubr. Rada Ministrów zaleciła budownictwo. Jak się obecnie nazywa, przykładowo-oszczędne (...) Przeciętny koszt jednej izby w budo-

wnictwie przykładowo-oszczędnym musi być o 20 procent niższy od kosztów zwykłego budownictwa mieszkaniowego (zamiast 3240 zł do 2430 zł koszt powinien wynosić od 210 do 1700 zł — dop. Lektora)”.

Gdzie szukać oszczędności? Autor jest zdania, że pociągnięcia obniżające standard wyposażenia mieszkania dają nie najlepsze efekty:

„Największym źródłem oszczędności jest (...) grupa prac związanych z budową ścian, schodów, stropów, murów”.

A więc nie eliminowanie instalacji centralnych, wodociągów i kanalizacyjnych, lecz maksymalne uprzedysponowanie budownictwa i zastosowanie tańszych prefabrykowanych elementów schodowych, ścianek, stropów itp. Poza tym ogromnym źródłem oszczędności mogą być wstępne opracowania każdej inwestycji, co potwierdziła zresztą niedawna rewizja inwestycji. Słowem oszczędzajmy nie kosztem jakości mieszkań, bo są to oszczędności minimalne, lecz tam, gdzie można zaoszczędzić grubo więcej. To jest na pewno trudne zadanie dla naszego budownictwa. Ale bardzo wdzięczne.

„Przeciwnik” kary śmierci

Dwutygodnik prawnospołeczny *Prawo i Życie* zamieszcza na pierwszej kolumnie artykuł Jerzego Rawicza pt. Niech nam wytrącają broń. Artykuł ten poświęcony jest byłemu Generalnemu Prokuratorowi Niemieckiej Republiki Federalnej Wolfgangowi Immerwahr Fraenklowi. Musiał on ustąpić z zajmowanego stanowiska w wyniku wizyty w bońskim Ministerstwie Sprawiedliwości dwóch oficjalnych przedstawicieli NRD, prokuratorów Fotha i Endera. Przedłożyli oni temuż Ministerstwu dokumenty, świadczące o tym, że Generalny Prokurator NRF jest zbrodniarzem wojennym. Wolfgang Fraenkel, były członek partii hitlerowskiej „zaślubił się” III Rzeszą jako prokurator żądający bezlitości dla każdego podsądnego kary śmierci. Jak na ironię, gdy obejmował urząd Generalnego Prokura-

tora NRF, w „Welt am Sonntag” ukazał się artykuł — wywiad w którym czytamy:

„Fraenkel, o którego poglądach na praworządność opinia publiczna wie dotychczas nie o wiele więcej ponad to, że jest zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci, prosi o zrozumienie, że nie chce już dziś obciążać swego wprowadzenia w urząd składaniem podstawowych programowych deklaracji”.

Autor tak kończy artykuł będący w swej wymowie jednym wielkim oskarżeniem pana Fraenkla:

„Istnieją dokumenty dotyczące również hitlerowców zajmujących eksponowane stanowiska w innych dziedzinach życia NRF. Nic nie stoi na przeszkodzie, by i tymi panami się zająć. Nazwiska? W każdej chwili do dyspozycji (publikujemy je wciąż). Fakty? — Także. A więc? Trzeba tylko chcieć. Wówczas nie będzie takich nieprzyjemności, jak z panem Wolfgangiem Immerwahr Fraenklem”.

Przykład Fraenkla rzeczywiście nie jest czymś odosobnionym. I pomyśleć, że NRF stale odziera się od tradycji III Rzeszy. Trzeba mieć dużo tupego.

Polska rojna

Jerzy Putrament na łamach *Przeglądu Kultu-ralnego* tak pisze w cotygodniowym Kąciku Laika:

„Pasjonuje Was zagadka — jak Polak spędza wolny czas? (...) Plaże zapchane ciałami. Nic nowego, ale rozmiar! Mielimy 150 km wybrzeża, mamy trzy razy więcej: i to wszystko w ciałach! Rowy przydrożne pełne Cybulskich i Jędrusieczek. Na każdym skrzyżowaniu młodzieży w wąskich spodniach i ciemnych okularach oraz trochę rozczochranych dziewczyn. Machają papierkami, na ogół bez skutku...”

Autor dzieli historię spędzania wolnego czasu na trzy epoki: fluczonoego szkła, ćwierćczek i rygania, druga — wylegiwania się na plażach, wysiadywania w kawiarniach itp., trzecia — szwendania się po całym kraju. Trafne i lapidarne.

LEKTOR